

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

36

(Dokończenie).

Bop przestraszony rzucił się do drzewa, wspinając się na niego; Cockley, który siadł okrakiem na murze, rzucił Wierze linkę.

— Niech pani jej się chwyta! Prędejj, prędejj! Dobrze!

Gdy buldogi doskoczyły do Wiery, Cockley wciąż gał ją już do góry, jeden tylko jej trzewik został w zębach psa.

— Uf! westchnął Cockley, sadzając Wierę na murze. Poczekajcie moje jagniątko. Gryźcie teraz, kiedy chcecie!...

— Dziękuję, szepnęła Wiera, pan mnie ocalił.

— Robi się, co można, odparł skromnie Cockley.

Psy rzuciły się do Bopa, skacząc wściekle koło drzewa. Gałąź, na której siadł, zatrzeszczała nagle.

— Dobrodziej, zawołał Cockley, niech pan nie ufa tej gałęzi. Znam ją doskonale. Zsunie się pan z niej na dół, a to nie będzie rozkoszne, niech mi pan wierzy! Do widzenia, gentleman, *good night!*

I Cockley spuścił Wierę a potem sam znikł z tamtej strony muru.

Pani Morailles zemdląca ze wzruszenia; Wiera nacierała jej skronie wodą i do ust wpuściła kilka kropel jakiegoś płynu. Otworzyła oczy.

Simoni rzekł wtedy po cichu do Wiery, która zdawało się, iż sama zaraz upadnie:

— Czy zawołać towarzyszy? Czy dama ta będzie mogła iść pieszo?

— Mam samochód, odezwał się Cockley; ale co pani jest? I schwycił ją pod ramiona.

— Nic, odparła Wiera, jeden z psów urwał mi kawałek ciała. Podniosła okrwawioną nogę z ogromną raną na pięcie. Pełna stoicyzmu nawet nie jęła.

— Pani nie może iść, zdecydował Cockley; pan i ja zaniemiemy panią do samochodu. Pani Seymour drży tam z obawy.

W kilka chwil potem markiza była już w objęciach swej starej przyjaciółki; płakała i śmiała się z wyczerpania nerwowego. Wiera z nogą owiniętą chustkami, milczała, zagryzając wargi z bólu. Samochód kierowany przez Doddy mknął naprzód w kierunku wskazanym przez Wierę. Simoni i Cockley pozostali razem; dziwny kontrast; gentleman w ubraniu wieczorowym i robotnik w poplamionej bluzie.

— Panie — rzekł Cockley uprzejmie — mam zaszczyt pana pożegnać.

— Pozwoli pan uścisnąć swą rękę, odparł Simoni; pan mnie nie zna, ja pana i może nigdy już nie spotkamy się.

Zamienili silny uścisk dłoni i rozeszli się, każdy w swoją stronę. W kwadrans potem nie zostało śladu z szopy mularskiej. Towarzysze Simoniego przybiegli na głos gwizdka i wszystko sprzątnęli. Bop przez ten czas drżał na gałęzi, pilnowany przez buldogi, które gryzły pień drzewa, by dobrać się do siedzącego na niem człowieka. Stróż, który ukazał się tutaj po pewnym czasie, zdziwiony obecnością człowieka na drzewie i biorąc go „za jednego z bandy“, nie chciał słuchać ani jego tłumaczeń, ani tytułów.

— Wkrótce będzie dniało, odpowiedział; pogadamy po widoku.

I Bop pod strażą dzikich psów oczekiwał nadejścia dnia.

* * *

W dwa tygodnie potem między Melun i Nemowis dwa samochody mknęły całym pędem; drugi chciał dogonić pierwszy i oba to oddalały się od siebie, to zbliżały.

W pierwszym dwie kobiety, blade z niepokoju, z dzieckiem między sobą, mierzyły co chwila odległość od ścigającego samochodu. Była to pani Morailles, pani Seymour i Jacek. Doddy kierowała.

W drugim siedziało dwóch mężczyzn; jeden z nich pochylony naprzód, z wzrokiem utkwionym przed siebie, śledził uciekających. Był to pan Morailles, który sterował samochodem i agent policyi.

Markiza od ucieczki z domu obłąkanych była poszukiwana przez policję na żądanie doktora Cruxa.

— Mój Boże, szeptała, widząc z jak zawrotną szybkością przed oczami jej migały przydrożne drzewa, wołałabym umrzeć, niż wpaść znówu w ręce tego człowieka.

— Co za nieszczęście! mówiła pani Seymour. On wszędzie miał szpiegów. To moja wina, powinienam była usłuchać Wiery, kiedy chciała dowieść cię do Hawru. W Hawrze bowiem oczekiwała na nie Ludwika razem z Made i Janiną Forster.

— Jak można było przypuścić, że mój mąż śledził ciebie wszędzie i tak zręcznie, iż dopiero teraz spostrzegłyśmy go.

— To moja wina, powtórzyła pani Seymour. Winnam była słuchać Wiery.

Przez dwa tygodnie pani Morailles przebywała w pawilonie, który poznała przed laty, w niezapomnianych chwilach męki, gdy wydała na świat Jacka. Przez dwa tygodnie obsługiwana przez panią Bertę, która doglądała również Wiery z powodu jej rany na stopie, Aurora żyła skryta, w dali od świata. To więzienie było dla niej zbawieniem; chociaż dzienniki nie wspominały o jej ucieczce i nie pomogły przez to do jej odkrycia, tajni jednak agenci z prywatnych biur wywiadowczych weszli za nią wszędzie. U Wiery była bezpieczna. Nie pozwoliła ona napisać jej ani jednego listu, uczynić ani kroku na zewnątrz. Należało pozostawić czas, by gorliwość agentów markiza wyczerpała się i by on sam nabrał przekonania, iż żona jego skryła się za granicę.

Agenci jednak znali swój zawód.

Rano pani Seymour przeczytała w Figarze wiadomość z Cannes, iż przybył tam markiz Morailles. Nie wierzyła tej wieści i przy pomocy Cockleya sprawdziła w pałacu, iż markiz istotnie już tam wyjechał przed dwoma dniami. Chwila była odpowiednia: markiz nieobecny, można więc przewieźć Aurorę do Hawru, by stąd następnego dnia ruszyć do Ameryki.

Tak rozważała pani Seymour, nie przypuszczając, iż wiadomość o wyjeździe markiza rozgłoszono umyślnie. Nie domyślając się taktyki swego przeciwnika, zatelefonowała pod umówionymi znakami do jednego z towarzyszy Wiery.

— Proszę mi przysłać dzisiaj książkę.

— O której godzinie?

— O pierwszej.

— Na ulicę Saint-Honoré 70?

— Tak, Saint-Honoré 70.

O pierwszej godzinie pani Seymour oczekiwała razem z Jackiem przed tym domem. Pięć minut po pierwszej z bramy wysunęła się lekko postać kobieca: była to Aurora. Doddy zaraz ruszyła.

Z początku samochód jechał wolniej przez ulicę Paryża, potem zamiast odrazu pędzić do Hawru, skierowano się na południe, by przekonać się, czy nikt ich nie śledzi.

Niestety za nimi jechał drugi samochód i mimo całej ich szybkości, doganiał ich, przestrzeń między nimi zmniejszała się.

W Melun należało zwolnić biegu, z czego skorzystał markiz, pędząc całą siłą. Towarzysz jego zwracał mu uwagę.

— Ostrożniej panie markizie, zbyt szybko; to wbrew regulaminowi.

Pan Morailles wzruszył tylko ramionami. Gnała go nienawiść, żądza porwania Aurory znówu w swe ręce. Jak tylko jeden ze szpiegów dał mu znać, że pani Seymour ma zamiar jechać samochodem, gdyż czeka już na nią przed domem, markiz nie chcąc ani chwili tracić z powodu ubierania się szofera, sam skoczył z agentem do samochodu i podążył pod wskazany adres.

Zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów od mieszkania Amerykanki i pojechał za nią. Dzięki radości doznał, gdy ujrzał wychodzącą z domu przy ulicy Saint-Honoré swą żonę. Teraz już mu się nie wymknie! Przechwyci ją i da jej odczuć całą potęgę swej zemsty!

Samochody mknęły naprzód, nie dotykając prawie ziemi kołami. Gnał je, pędził szalony strach i nienawiść. Pierwszy szukał ocalenia, drugi nasylenia swej mściwości.

Agent policyi, który doznał skrupułu wobec tej dzikiej pogoni dwóch bezbronnych kobiet i dziecka, rzekł po raz drugi z naciskiem:

— Proszę zwolnić. Nie mogę zgodzić się na to przestępstwo prawa i narazić się na wypadek i protokół.

Pan Morailles zwrócił się do niego:

— Jeżeli pan obawia się...

— Tyle się obawiam, co i każdy inny — odrzekł agent, marszcząc brwi i ruszając wamsami, przez co wyrażał swe największe niezadowolenie...

— A więc proszę nie denerwować mnie w takiej chwili...

I zbliżył się o trzydzieści metrów, potem znówu o dziesięć. Nagle krzyk radości wyrwał mu się z piersi, dotykał już samochodu pani Seymour. Chciał go wyminąć i zajeżdżać mu drogę.

Naraz rozległ się straszny łoskot. Samochód markiza zajeżdżał bocznymi kołami na pochyłość przydrożnego rowu, skwócił się bokiem i całą siłą pędu strząsał się o drzewo, łamiąc je.

Tragiczna chwila! Z olbrzymiego potwora stałego pozostały tylko rozerwane kawałki. Na ziemi

leżały dwa ciała. Jeden z jadących podniósł się po chwili, chwiejąc się cały.

— Panie Boże! zawołała zdumiona Doddy, toż to nieboszczyk Trachet, były mój mąż!

I niepoprawna dodała:

— Aha, dobrze, nie przyniosło mu to szczęścia.

Pan Morailles nie ruszał się. Agent Trachet pochylał się nad nim, wziął jego głowę w ręce, poczem ją zaraz położył. Gdy pani Seymour zbliżyła się, wzruszona tym wypadkiem, zatrzymał ją ruchem litości dla tego, kto już nic złego nie może nikomu uczynić.

— Niech pani nie patrzy.

Pani Seymour widziała jednak. Głowa markiza strząsała się o drzewo, z czoła pozostały tylko szczątki kości.

Aurora i Jacek wychodzili w tej chwili z samochodu. Pani Seymour powstrzymała ich i rzekła do przyjaciółki:

— Wszystko skończone! Takie przeznaczenie... Sprawiedliwości stało się zadość.

Aurora wzdrygnęła się cała i chwytając syna w objęcia, załkała.

EPILOG.

W trzy miesiące potem z portu Havres wyruszył wielki transatlantycki okręt „Auvergne“. Obok starszej kobiety o energicznym wyrazie twarzy, stała na pokładzie młodsza kobieta w żalobie i tęsknym wzrokiem żegnała Francję: była to Aurora Morailles. Powróciła do swych dóbr, praw i wolności, uwolniona od człowieka, który ją tego pozbawił.

Odzyskując majątek, znalazła i całe rzesze obrońców i sprzymierzeńców. W krótkim czasie największe powagi medyczne uznały ją za zupełnie zdrową. Curx i Saffroy, mimo wyraźnej niechęci, musieli poddać się temu orzeczeniu, złożąc chwilę pojawienia się w zakładzie amerykańskiego lekarza, Plumpisha.

Długo spoglądała na ojczystą ziemię, którą miała ujrzeć później, gdy zdrowie swe doprowadzi do pożądanego stanu, gdy te moralne przejścia i nerwowe wstrząśnienia, które przecierpiała, pozostaną tylko odległym wspomnieniem. Ujrzy wtedy znówu swego syna Andrzeja, który kończył nauki nie u Jezuitów, lecz w Paryżu, pod opieką księcia d'Eylau. Ten stary przyjaciel podjął się sam wzbudzić w Andrzeju pragnienie nowego, pełnego życia.

Pożegnanie ich było bolesne.

Pod widocznym wpływem ojca Remy i wychowania religijnego, Andrzej oznajmił chęć wstąpienia do zakonu. Odpowiedziała mu, że podobny zamiar wymaga głębszego zastanowienia i namysłu, na co trzeba poświęcić kilka lat. Wiadomość ta bardzo ją zaniepokoiła, książę d'Eylau zdołał jednak dodać jej otuchy, iż kilka lat świeckiego życia, zatreze w młodym człowieku podobne postanowienia.

Obracając się na pokładzie, pani Morailles ujrzała Joannę, idącą po schodach pierwszego piętra. Błada była, wymęczona, w oczach jej jednak świecił blask nadziei i szczęścia.

— Jakże, Joanno, jak się ma nasz drogi chory?

— Maurycy spoczywa w kabinie, jest jeszcze wyczerpany, lecz doktor powiedział mi, że już siły zwolna mu powracają.

Maurycy? Tak, na czas przybyła, by wyrwać go z objęć śmierci. Rano odnaleziono go omdłego na stosie porostów wodnych; dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności odniósł tylko dość ciężkie potłuczenia. Spadł bowiem na ciało mistress Harden, która sobą osłabiła siłę upadku, ginąc sama. Przez wiele dni i nocy Maurycy majaczył w gorączce; Joanna sama czuwała zazdrośnie nad swym nieszczęśliwym mężem; ona jedna tylko mogła domyśleć się tego strasznego dramatu, w którym ta złowroga kobieta, to wcielenie zła i występku, Czarna księżniczka znalazła dla siebie koniec. Dzięki staranom Joanny przemilczano o tym nieszczęśliwym wypadku. Uzyskała dla niego dłuższy urlop i teraz wozi go do innego świata, by tam nabrał wiary w siebie i odwagi do życia.

Pani Seymour pożyczyła funduszków na zapłacenie długów i na usunięcie wszelkich trudności materyalnych. Aurora objęła ją czule.

— Gdzie są dzieci? zapytała.

W chwili tej Jacek i Made ukazali swe rozkoszne twarzyczki, ożywione uśmiechem i radością z oglądania nowych dla siebie rzeczy. Made podbiegła do pani Seymour i objęła ją swymi drobnymi rękami, Jacek zaś stanął pomiędzy swą prawdziwą i przybraną matką i biorąc je za ręce, całował.

— Dzieci nasze... szeptała Joanna we łzach.

Pani Morailles, która patrząc na młode pokolenie, sama ożywiła się i jakby odmłodziła, powtórzyła:

— Nasze dzieci... mają przyszłość przed sobą... Oby tylko były szczęśliwsze od nas!

KONIEC.